



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: SCHLESINGER I... CZARNA MAGIA

Wielu nawet bardzo wybitnych artystów - którzy niegdyś byli „młodymi gniewnymi” i przecierali nowe szlaki w sztuce filmowej, zaciekle walcząc z ekranową tandetą i schlebującą gustom szerokiej publiczności „komercją” - zaczyna na pewnym etapie ich twórczej kariery, (gdy cieszą się już opinią „klasyków gatunku”) korcić myśl zmierzenia się z tematyką, jaką preferuje kino popularne: z filmem gangsterskim, przygodowym, sensacyjnym lub horrorystycznym. Kończy się to często bardzo problematycznym sukcesem, i tak też się stało w wypadku Johna Schlesingera, który postanowił nakręcić sensacyjny horror. „Wyznawcy zła”, idący właśnie od niedawna na polskich ekranach.

Ćwierć wieku temu trzydziestoparoletni Schlesinger był - obok Lindsaya Andersona, Dicka Lestera, Karola Reizsa i Tony Richardsona - jednym z tych młodych angielskich reżyserów filmowych, którzy tworzyli pełne pasji, zaangażowane „młode kino angielskie” lat sześćdziesiątych, kino zwrócone ku otaczającej ich społeczno-obyczajowej brytyjskiej rzeczywistości. Język filmowy, jakim się posługiwali, czerpał często z doświadczeń reportażu i publicystyki, nie stronił też, gdy trzeba było, od satyry i groteski. „Młode kino angielskie” było jednym z pierwszych oznak nadciągających wielkich światowych ruchów kontestatorskich młodzieży, angielskiej rewolucji obyczajowej, zwrócenia się młodych ku polityce, poddawania przez młodzież krytyce świata dorosłych.

W 1958 r. Tony Richardson przenosi na ekran „Miłość i gniew”; w 1961 r. powstaje jego „Smak miodu”; w 1963 - „Samotność długodystansowca”. Na przełomie 1962 i 1963 r. Lindsay Anderson debiutuje w pełnym metrażu - „Sportowym życiem”. Karel Reisz wstawia się świetnym filmem „Z soboty na niedzielę”, zrealizowanym w 1960 r. W 1961 r. powstaje pierwszy fabularny długometrażowy film Johna Schlesingera – „Rodzaj miłości”, z doskonałą kreacją Alana Batesa w roli Vica Browna. I od razu wielki sukces: Grand Prix („Złoty Niedźwiedź”) na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie Zachodnim w 1962 r.

Na sukces ten Schlesinger pracował już od szeregu lat. Jeszcze, jako student uniwersytetu w Oxfordzie założył zespół dramatyczny, który podróżował nie tylko po miastach angielskich, ale także wybrał się z występami na kontynent amerykański. Od 1957 r. młody reżyser związał się na stałe z telewizją BBC, realizując szereg programów,

przedstawień teatralnych oraz filmów telewizyjnych; reżyserował też sztuki na scenach teatralnych. Od 1952 r. John Schlesinger grywał w licznych filmach, jako aktor. Kiedy przystąpił do realizacji „Rodzaju miłości”, miał już trzydzieści sześć lat i był postacią liczącą się w świecie teatralno-telewizyjnych twórców.

„Rodzaj miłości” to opowieść, o dwojgu młodych, zupełnie nieprzygotowanych Jeszcze ani do życia uczuciowego, ani tym bardziej do małżeństwa, uwikłanych w stereotypy drobnomieszczańskiego konwenansu obyczajowego, którzy biorą ślub, gdyż po prostu „tak się złożyły okoliczności” i ponieważ sprawi to przyjemność ich rodzinom. Jakie będzie dalsze życie tej przypadkowo dobranej pary, o to się już nikt nie martwi.

W 1963 r. Schlesinger nakręcił film „Billy kłamca”, w którym wykpiwał sposób patrzenia na świat przez angielskie klasy średnie - tych wszystkich „budzących zaufanie”, „kierujących się zdrowym rozsądkiem” kupców i przedsiębiorców. Film, w którym tytułową rolę zagrał świetny Tom Courtenay, kreujący postać skontestowanego pracownika „szacownego” zakładu pogrzebowego.

W dwa lata później przyszedł kolejny wielki sukces: „Darling”, z błyskotliwie zagrany rolami Diany Scott (Julie Christie) i Roberta Golda (Dirk Bogarde). Za kreację aktorską w „Darling” Julie Christie otrzymała Oscara, zaś sam Schlesinger - niewiele mniej, bo otworzyła się przed nim droga do Hollywood.

W 1969 r. John Schlesinger nakręcił w Stanach Zjednoczonych „Nocnego kowboja”. I ten film ukazujący w krzywym zwierciadle mit zwycięskich chłopców z Teksasu, ta opowieść o chłopcu z amerykańskiej prowincji, który wyrusza pewnego dnia „na podbój” Nowego Jorku i zostaje zniszczony i odrzucony przez przerażającą machinę wielkiej metropolii, przyniósł aż dwa Oscary: za najlepszy film roku i za najlepszą reżyserię.

I to był, jak dotąd, szczytowy moment w karierze Johna Schlesingera, reżysera europejskiego, który – co rzadko się zdarza - potrafił „wziąć szturmem” Hollywood.

W następnych latach, kiedy Schlesinger zabrał się w Ameryce do kręcenia dalszych filmów, jego dzieła zaczęły tracić na oryginalności i świeżości spojrzenia. Zarówno w oglądanym u nas „Dniu szarańczy”, jak i w sensacyjnym „Maratończyku”, (choć widać w nich wspaniały profesjonalny warsztat reżyserski) trudno doszukać się tych atutów, jakie cechowały dawnego Schlesingera.

W powstałych w 1987 r. „Wyznawcach zła” reżyser zupełnie już odbiega od dawniej podejmowanej problematyki, jego krwawa opowieść, odwołująca się do starych afrykańskich wierzeń i religii, (które w okresie niewolnictwa w Ameryce zostały nasycone elementami wiary chrześcijańskiej, jak na przykład, znajdująca dziś licznych zwolenników nawet w Nowym Jorku Santeria), nie przynosi żadnego oryginalnego spojrzenia na ten ciekawy skądinąd problem. Czarna magia, tajemne praktyki, rytualne mordy, węże lęgające się we

wnętrznosciach przeciwników Santerii, otwierające się na ich twarzach straszliwe rany - te wszystkie niesamowite działania i wydarzenia, z którymi ani rusz nie może sobie dać rady cały nowoczesny, zbrojny w elektronikę aparat policyjny, są niewątpliwie efektownie pokazane na ekranie...

Wybrać się na „Wyznawców zła” - warto. Ale warto też, oglądając ten film, pamiętać o krętych i śliskich drogach, na jakie zstępują niejednokrotnie niegdysiejsi idole. Którzy może już się wypalili? A może robią takie filmy w pogoni za sławą, za pieniędzmi? Może kontestując w ten sposób przeciw własnej legendzie?

Tak czy inaczej najbardziej w sedno utrafiła, omawiając „Wyznawców zła”, jedna z amerykańskich recenzentek, pisząca bez owijania w bawełnę:

„Ten film wyróżnia się doskonałymi zdjęciami [...], ma inteligentnie zagrana, choć niezapadającą w pamięć główną rolę przystojnego Martina Scheena i jest (częściowo) wyreżyserowany na profesjonalnym poziomie, którego mieliśmy prawo oczekiwać od Johna Schlesingera. Co, powiedziawszy, przyznać trzeba, że reszta w tym filmie to zwykłe banialuki”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 25 s. 14-15.